

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

KRÓL SANNY.

Taki mię opad marzeń rój:
Żebym ja też konika miał
I małe sanki — Boże mój!
Tobym ja pędził, tobym gnał.

Przez lśniące morze białych pól,
Gdzie tylko śnieg, gdzie gładki lód,
Sunałbym sobie jak król,
O Boże! ześlij taki cud.

Wywróciłbym się raz i dwa
W błyszczący miękki biały puch,
Tobym się podniósł cha, cha, cha!
I dalej pędził chłopak zuch.

Aż wieczórby na ciemną toń
Srebrzystych gwiazd rozsypał trzos,
A mój by ciągle pędził koń
I dzwonek srebry grałby głos.

Daremnie jednak! Wstrzymaj lot
Czarowna myśli z wyżyn zleć!
Do książki trzeba wrócić ot —
Kto chce konika, sanki mieć.

Przestań marzenia próżne snuć,
Nie sankuj się do srebrnych gwiazd,
Do książki królu sanny wróć.
Chcąc śnieżnych się doczekać jazd.

Gdy koniem chcesz kierować sam,
W zawianej drodze znaczyć ślad,
Naturę własną pierwaj złam
Zbawiennych też posłuchaj rad!

Na mądre słowa natęż słuch
I w sercu Boży ogień pał,
Byś zdołał sam, jak wolny duch
Z rumakiem lecieć w stepy w dal.

Bo tam na niebie całun z chmur
I gwiazd pogasić może moc:
Zabłądzić możesz w głuchy bór
I ciemna cię ogarnie noc.

W przepaść się stoczyć możesz gdzieś
Więc żebyś się wydobył z niej
I wrócić mógł — busolę weź
I własne światło zawsze miej!



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy).

Usiedli pod werendą, aby bawić się widokiem przechodzących i przejeżdżających. W parę minut potem wszedł jakiś niemłody pan, w ciemnoniebieskich okularach i usiadł w pobliżu p. Kalińskiego, który spojrzawszy przelotnie, na przybysza, doznał wrażenia, jakby tego człowieka znał już i widział niegdyś, ale gdzie, nie mógł sobie tego przypomnieć.

— Dziwna rzecz, że nie mogę sobie przypomnieć, kto to taki? — powiedział sobie w duchu pan Kaliński i bacznie przypatrywał się swemu sąsiadowi, o ile na to grzeczność pozwalała.

Nieznajomy również kilka razy spojrzął na pana Kalińskiego, wreszcie zajął się czytaniem gazety.

Tymczasem posługacz przyniósł żądany napój i zapytał nieznajomego, czego sobie życzy.

Ten poruszył się żywo i nagle niebieskie okulary zsunęły mu się z nosa.

— Kincel! — zawołał mimowolnie pan Kaliński.

Usłyszawszy ten wykrzyknik, Kincel, gdyż on to był rzeczywiście, zerwał się z krzesła z takim pospiechem, że wywrócił stojący w pobliżu stół, na którym stało kilka pustych szklanek.

Szkoło z brzękiem posypało się na ziemię, a Kincel, nie bacząc na wyrządzoną szkodę, pędem wybiegł na ulicę. Pan Kaliński wybiegł również, pociągając za sobą Jasia.

Mniemał, że dogoni uciekającego, za którym podążał także posługacz z cukierni, gdyż chciał uzyskać wynagrodzenie za wyrządzoną szkodę.

Ale usiłowania te były próżne. Kincel biegł coraz szybciej, wreszcie wpadł w uliczkę i zniknął w niej.

Ten człowiek od pewnego czasu stale nas prześladowa — mówił pan Kaliński do Jasia, wracając pod werendę cukierni, a w duchu dodał:

— Niegodziwiec, nie wyrzekł się z pewnością swoich szkaradnych zamiarów i wciąż nosi się z myślą porwania mego wychowanka! Kiedyż ja się od niego uwolnię?

Jaś tak się przestraszył tem niespodziewanym wypadkiem, że stracił zwykły swój humor i zaczął usilnie prosić dobrego opiekuna, aby wrócili do hotelu.

Ten, jakkolwiek podzielał obawy Jasia, starał się go uspokoić i odwrócić jego uwagę w inną stronę, co mu się też wkrótce udało.

Jednak to niespodziewane spotkanie z Kinclem przypomniało żywo panu Kalińskiemu owe pieniądze wygrane przez ojca Jasia.

— Na wypadek, gdyby rzeczywiście Drze-

wiński zginął — mówił sobie w duchu pan Kaliński — pragnąłbym zabezpieczyć te pieniądze dla Jasia. Sprawa z Kinclem utwierdza mnie w tem przekonaniu, że lotr ten ściga nas i prześladowa, aby porwawszy chłopca, zagarnąć zarazem przynależną ojcu jego sumkę. Chociaż nie przypuszczam, aby bankier wypłacił komu innemu, skoro odpisał mi, że wypłaci tylko Drzewińskiemu, sądzę jednak, że nie będzie to nic złego, jeżeli ja jeszcze raz do niego napiszę!

Nie namysławiając się zatem dłużej, napisał dwa listy.

Jeden wysłał, do kraju do biura, gdzie pracował Drzewiński z zapytaniem, czy tam nie mają jakiej o nim wieści; drugi do bankiera berlińskiego, prosząc go o objaśnienie, jak należy postąpić, aby w razie śmierci Drzewińskiego pieniądze mogły się dostać Jasiowi?

*

*

XXII.

Jaś był uszczęśliwiony, pan Kaliński bowiem obiecał mu, że wkrótce odbędzie wycieczkę do miejscowości zwanej Adelsberg, odległej o trzy godziny drogi od Tryestu.

— Musimy jednak czekać, aż się zbierze większe towarzystwo — mówił pan Kaliński — gdyż te wycieczki wolno odbywać tylko w towarzystwie zdolnych przewodników, mnie samego kosztowałyby więc za wiele.

— A na cóż nam przewodnik, proszę pana? Czy to nie trafimy sami?

— Mówiłem ci już, że bez przewodnika iść tam niewolno, a zaraz ci wytłomaczę dla czego: będziemy zwiedzali jaskinię.

— Jaskinię? — powtórzył Jaś z najżywszą ciekawością — prawdziwą jaskinię, wykutą w skale? O, jak ja się cieszę! Niech mi pan opowie co o tej jaskini.

— Adelsberska grota — to wielka jaskinia stalaktytowa, zajmuje ona olbrzymią przestrzeń we wnętrzu góry.

Przewodnicy boją się zapuszczać zbyt daleko w głąb tej groty w obawie zablakania się.

Natura działała tam istne cuda: niby sale balowe, świątynie, galerie i krużganki. Najciekawsze rzeczywiście ze wszystkich jaskiń są groty stalaktytowe.

— Co to są stalaktyty? — zapytał Jaś.

— Stalaktyty są to kamienie naciekowe, tworzące się z wody, która przeciekając przez ziemię, zabiera z sobą rozpuszczone cząstki różnych skał, które następnie na powietrzu kamienieją, przybierając najdziwniejsze częstokroć kształty. Woda przeciekając na dno pieczar, tworzy tam osady płaskie, zwane stalagmity czyli nacieki, które często łączą się ze stalaktytami zstępującymi z góry, tak, że powstają z tego jakby prawdziwe kolumny. Ponieważ stalaktyt

tworzą się bardzo powoli, tak, że można powiedzieć, iż wieki się na to składają, przeto wydają się one, jakby złożone z warstw rozmaitego częstokroć ubarwienia, najczęściej jednak bywają: blade-zółte lub białe.

Jaś słuchał z nadzwyczajnem zajęciem i niecierpliwie wyglądał tego dnia, kiedy pan Kaliński zbudził go rano wezwaniem:

— Jasiu, spiesz się, jadziemy do Adelsbergu!

Nadszedł wreszcie ów dzień upragniony. Wszyscy, którzy mieli należeć do tej wycieczki, zbrali się bardzo rano na dworec kolei.

Towarzystwo składało się z dwudziestu kilku osób.

Dzień był prześliczny, słońce ciepłymi promieniami oblewało ziemię, tylko wietrzyk od morza chłodził trochę i czynił upał znośniejszym.

Ze stacyi kolejowej trzeba jeszcze jechać lub iść pieszo kawałek drogi do wioski Adelsbergu.

Tu wszyscy posilili się śniadaniem i dopiero wyruszyli do groty. Przed wejściem do wnętrza, każdy z obecnych otrzymał zapaloną latarkę.

Przy samem wejściu do groty płynie piękna rzeka.

Wszedłszy do wnętrza groty, Jaś doznał najprzód miłego wrażenia chłodu, ciszy i półcienia; dopiero gdy się oswoił nieco z tym zmrokiem, zadziwił go ogrom jaskini.

Były to jakby olbrzymie korytarze o sklepieniach niezmiernie wysokich, to znowu tak niskich, że mężczyźni wysokiego wzrostu schylać się musieli przechodząc, pełne zagłębień, filarów, słupów i sopli, zwieszających się ze wszystkich stron. Bystra rzeka wpadała tu pod ziemię i kryła się w jej czeluściach, wypływając dopiero o kilka mil dalej, z drugiej strony góry. Jaś był tak odurzony tym nowym dla siebie widokiem, że nie puszczając ręki pana Kalińskiego, powtarzał tylko:

— Ach jak tu ślicznie!

Szli już dosyć długo pomiędzy rozmaitemi grotami i zagłębieniami, aż nagle Jaś stanął zdumiony, doszedł bowiem do największej osobliwości w grocie Adelsberskiej, do tak zwanej zasłony.

Była to biała, nawpół przezroczysta ściana, spływająca z góry ku dołowi, w tak lekkich i misternych fałdach, że zdawała się być zrobiona z jakiejś delikatnej tkaniny.

Przewodnicy poza zasłoną zapalili ogień bengalskie, i Jaś aż krzknął z podziwu, ujrawszy ten czarodziejski widok.

Przy blasku ognia bengalskich stalaktyty przybierały najrozmaitsze barwy.

Wreszcie zbliżyli się do najciekawszego miejsca, zwanego Kalwaryą.

Skala wznosiła się w górę, aż do znacznej wysokości; ścieżka i schódki wykute w skale

wiodły ku szczytowi, gdzie wznosił się krzyż i dlatego tę górę nazwano Kalwaryą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Oczy uroczone.

(Bajka.)

W murowanym dworze nad Wisłą mieszkał bogaty szlachcic. Wszystkie okna tego dworu wychodziły na wspaniałą rzekę, od strony gościńca, ani obszernego podwórza nie było żadnego. Długa alea lip, między którymi przechodziła droga do dworu szlachcica, zarosła trawą i chwastem, oczywiście nie znajdziesz tu dawnej gościnności, nie wiele sąsiadów to samotne siedlisko odwiedza.

Pan tego dworu sprowadził się dopiero od lat siedmiu z dalekiego powiatu. Wieśniacy mało go znali i nawet z bojaźnią unikali, okropne bowiem wieści obiegały o nim.

Z bogatych rodziców urodzony nad brzegami Sann, od kołyski nieszczęśliwa mu przyświecała gwiazda, bo mniał oczy uroczone, które chorobę i śmierć ludziom zadawały. Kiedy spojrzał na bydlę, zaraz zdechło; jeżeli co pochwalił, marniało zaraz. Ojciec i matka ze zgryzoty pomarli, a pan uroczy — jak go w okolicy nazwali, gdzie niezliczone zrządził szkody swojemi oczyma, — sprzedawszy po rodzicach majątek, przeniósł się nad brzegi Wisły i zamieszkiwał dwór murowany. Wszystkich on pooddalał ludzi, zatrzymawszy jednego tylko domownika starego, który go na reku wyplastował i któremu jedynie złe oczy pana nie szkodziły wcale.

Pan uroczy rzadko wyjeżdżał z domu, bo za jego oczyma ciągnęły klęski, śmierć i choroby: dla tego zawsze siedział obok pana stary sługa, który go ostrzegał gdzie wieść, miasto lub czołwieka zobaczyć. Wtedy pan zakrywał oczy nieszczęśliwe, albo je spuszczal i zapatrywał się na wiązkę grochówin zawsze w nogach położoną, bo wtenczas oczy jego traciły swą siłę zabójczą.

Znając swoje oczy, którymi mimo woli nieszczęścia i klęski sprowadzał, kazał wymurować ów dwór obszerny a wszystkie okna tegoż obrócić kazał na Wisłę, aby nie mógł ludziom szkodzić. Mimo to przeklinali go flisy i z trwogą pokazywali duże okna murowanego dworu, z kąd oczy niejednemu zadawały chorobę, a burza zawsze niemal w przystani na przeciwnym brzegu, wprost białego, jak nazywano, dworu, wiele statków uszkodziła. Odważył się raz flis jeden. Podpłynął na łodzi do białego dworu i chciał widzieć pana uroczonego. Stary sługa przestraszony wprowadził do komnaty zuchwałego żeglarsza, Pan, jedzącobiad,

rozniewany, że mu nieznajomy przeszkadza, spoj-
rzał na przychodnia ponuro, a flisak dostał taki-
febry, że słowa przemówić nie mógł i upadł na
progu. Stary sługa z rozkazu litościwego pana
wyniósł go do łodzi, dużo dał pieniędzy i odwiózł
na brzeg przeciwny. Długo śmiatek chorował, wre-
szcie gdy zaczął mówić, opisał dwór biały i uro-
czego pana tak okropnie, że tem więcej jeszcze
przestraszył wszystkich flisów. Oł tego czasu ka-
żdy żeglarz płynąc po Wiśle, odwracał oczy od
białego dwora modląc się z cicha i drżał na sa-
mo wspomnienie złych oszu groźnego pana.

II.

Już lat dziesięć minęło, jak dwór biały był
przestachem okolicznych mieszkań ów i flisaków.
Nikt nie odwiedzał pana urocznego, a nieszczęśli-
wy pędził samodne godziny.

Sroga nastala zima. Wilki stadami w około
dworu groźnym głosem wyły, a pan domu sie-
dział smętny przy kominie, na którym wielki go-
rzał ogień przewracając karty jakiejś księgi. Sta-
ry sługa już wszystkie drzwi pozamykał i usiadł-
szy w tej samej komnacie z drugiej strony ko-
mina, ogrzewał stare i przemarzłe ciało, napra-
wiając sieć na ryby.

— „Stanisławie!“ rzekł pan do niego. „Czy
dużo nałowiliście ryb w przerebli?“

— „Niewiele, panie! ale będzie dosyć dla nas
obydwóch.“

— „Prawda!“ mówił nieszczęśliwy bogacz,
„już tyle lat, a my zawsze samotni! Nieszczęśli-
wa godzina, kiedy mnie urodziła matka! Zawsze
sam żyję jak pustelnik, bo ludzie uciekają prze-
demną!“ i otarł łzy, co zwilżyły nieszczęśliwe
oczy.

Nagle usłyszeli na dziedzińcu głos ludzki
wzywający ratunku. Zadrżał pan domu. Tak da-
wno nie słyszał obcego głosu! Stary sługa wy-
biegł z komnaty, a za nim pan uroczny z lampą
w rękę.

Przed samą sienią stały sanie kryte, obok
nich stał sędziwy człowiek, wołając ratunku. Sko-
ro ujrzał wychodzących ze światłem, wyniósł ze
sani zemdlalą żonę, a stary pomógł wysiadać prze-
straszanej młodej i pięknej córce.

Przyłożono drewek na kominie, otrzeźwiono
zemdlalą matkę. Tymczasem pan domu radosny i
wesoly dobył zapleśniałych butelek węgrzyna i
suto raczył sędziwego ojca pięknej córki.



ŁAMIGŁOWKI,

I.

Ar—bra—bre—cy—do—gna—i—ka—ka—ma
me—mie—na—ne—niec—noc—o—ska—ta—u—
wiel—wies.

Z powyższych sylab ułożyć 8 wyrazów, któ-
rych początkowe litery dadzą nazwę kraju w
Austrii.

Znaczenie wyrazów,

- 1) Miasto w Niemczech.
- 2) Część nogi.
- 3) Sławna twierdza polska.
- 4) Rodzaj zboża.
- 5) Święto.
- 6) Imię męskie.
- 7) Prowincja w Stan. Zjed.
- 8) Broń palna.

II.

Bo—cl—kwa—pa—chód—burg—in—ty—tarz
se—za—ta—ran—ry—ster—wes—na—war—so—
an—kocz.

Ułożyć z tych sylab wyrazów 8. Litery po-
czątkowe dadzą nazwisko sławnego rzeźbiarza
polskiego.

Znaczenie wyrazów.

- 1) Cesarz rzymski.
- 2) Miasto w Niemczech.
- 3) Inaczej gnebiciele.
- 4) Rzeka w Francyi.
- 5) U dziewcząt.
- 6) W kościele.
- 7) Dzień w tygodniu.
- 8) Strona świata.

III.

La—ce—lar—ment—ba—dy—o—wa—i—zu
ce—a—sza—ski—na—ta—i—la—niec—za—zu—
we—li—tul—ta—her—bu—la—asz—tra—mo.

Z tych sylab ułożyć 10 wyrazów. Począ-
tkowe litery dadzą nazwisko malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów.

- 1) Nazwisko znak. męża za czas. Wł. Łokietka.
- 3) Pieniądz.
- 3) Płyn.
- 4) Imię żeńskie.
- 5) Napój.
- 6) Poeta.
- 7) Miasto w Prusach Wschodnich.
- 8) Prorok pański.
- 9) Przysmak.
- 10) Inaczej kukulka.

